NUMER 12. DNIA 20. MARCA 1904 ROKU. ROK XII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

OBRAZEK Z ZACHODU.

Kulturo zachodu, przed którą schylają marzycielskie czoła nasi *pater patriae* — kulturo, do której tęskni każdy cywilizowany Polak, abyś nareszcie nad Wisłą zawitała, gdzie jest twoje właściwe siedlisko?

Pytanie barbarzyńcy!

Ależ u nas nawet światowe wróble z miejskich dachów wołają w odpowiedzi: Francja! Anglja!

Co my znamy z tej Francji?

Naturalnie Paryż. Dla nas cała Francja mieści się w jej stolicy. A dalej? Dalej pewno są mniejsze Paryże, noszące różne nazwy. Co do wsi, Zola rozczarował nas trochę swoją powieścią „La Terre“, ale z drugiej strony wiadomo, że wielki autor umiał wszędzie dobrać się do błota.

Po Paryżu (nawiasem mówiąc bardzo kosmopolitycznem mieście) największem liczebnie zbiorowiskiem ludzkiem we Francji jest Marsylja. Sześć kroć sto tysięcy stałej i niestałej ludności.

Należałoby usilnie błagać wielbicieli kultury zachodniej, aby do tego starożytnego miasta i do wielu innych miast francuskich jak najczęściej zaglądali. Niech mają ulgę w tęsknocie.

Port marsylski musi być istotnie bardzo dogodną przystanią, skoro pomimo dwudziestu oblężeń i tyluż klęsk, spowodowanych morzem, Marsylja zawsze na nowo wzrastała i jest obecnie pierwszym portem francuskim.

Ale też niema śladów starożytnego pochodzenia miasta. Po Fenicjanach, Grekach i Rzymianach pozostało jedynie trochę monet, odnajdywanych przy kopaniu ziemi, kilka podruzgotanych posągów, małej wartości artystycznej, kolumn ułamki, szczątki naw greckich, w mule starego portu zatopionych, a wreszcie... moc Greków nowożytnych.

Wogóle Wschód ma tu bardzo wielu przedstawicieli. Turek, Arab, Grek, Palestyńczyk, Armeńczyk, Gruzin, Czerkies etc. sąsiadują na każdym kroku z Francuzem, ze Szwajcarem, z Włochem, z Hiszpanem.

Tu jest ojczyzna małżeństw różnonarodowych.

Oto drobny przykład: Ojciec Armeńczyk, matka Angielka, córka wyszła za Szweda, syn ożenił się ze Szwajcarką.

I co tych wszystkich ludzi tutaj sprowadza?

Oczywiście handel — a kto mówi handel, mówi: miłość do grosza.

Grosz — oto hasło całego miasta, oto cel całego życia mieszkańców, jeśli właściwe życie wolno z takim celem zestawić. Handel na handlu jedzie i handlem pogania. Całe miasto jest tylko jednem wielkiem targowiskiem. Warszawiak powiedziałby: „jedną wielką żelazną Bramą“, — ztem większą słusznością, że zjeżdża tu moc Żydów ze wszystkich stron świata. Na tak zwanych głównych ulicach kupcy rozkładają i rozwieszają swoje towary przed sklepami na chodnikach i tak dość wązkich. Mówię, na tak zwanych głównych ulicach, które różnią się od pomniejszych tylko ilością sklepów, ale i jedne i drugie są zresztą obstawione jednako szpetnymi domami. Domy marsylskie mogą być niższe lub wyższe, ale wszystkie są sobie równe w architekturze. Niema też sporów o style, ponieważ tutejsze budownictwo nie ma wogóle żadnego stylu.

Dom, mówi marsylski budowniczy, stawiam, aby ochronić mieszkańców od zimna a nie dla jakiegoś tam piękna. Jakie piękno może być w kamieniu? My pragniemy tylko pięknych kobiet, to nam wystarczy.

Widzimy więc wzdłuż ulic szeregi murów popielato-szarych, przedziurawionych szeregami okien i tak płaskich, jak tylko mur płaskim być może. W oknach brudno białe żaluzje stale zamknięte.

Skąd taka niechęć do słońca, do światła?

Te zamknięte żaluzje wywołują takie wrażenie, jak gdyby zaraza po raz dwudziesty pierwszy nawiedziła miasto, i wymiotła z niego odnośnych mieszkańców, albo też domom grozi zawalenie i z tej przyczyny opustoszały.

Nie, to tylko taki zwyczaj: zima czy lato, deszcz czy pogoda żaluzje są zamknięte. Dlaczego? Nawet o taki drobiazg nie pytajmy Marsyljan. Tu każdy ma swoją specjalność — którą zna, — po zatem jest jako przysłowiowa tabaka w rogu, a specjalisty od żaluzji nie spotkałam.

— Ale jakżeż można pracować w ciemnych pokojach?

— W pokojach frontowych są tylko sypialnie i salony.

O! te salony! Wyzłocone, tapicerskie piękno, ukazywane światu już najczęściej pewnego dnia w tygodniu, od piątej do siódmej, kiedy pani przyjmuje gości.

Bywa zaś, że salon otwierają zaledwie kilka razy do roku. Kuchnia jest tu dopiero prawdziwem ogniskiem rodzinnem, kędy prawe marsylskie rodziny czują się u siebie. Kuchnia, jadalnia — tu cały dzień spędza żeńska część rodziny, tu przebywa ojciec po powrocie ze sklepu, czy z kantoru. Tutaj też podejrzana czystość wygląda z każdego kąta.

Takie są pozory kultury zachodniej w samym domu.

Dzieci uczęszczają do szkół ogólnych i specjalnych, z musu — bez zapału. Chłopcy możliwie wcześniej przerywają szkolne wykształcenie, aby jak najprędzej pomagać ojcu w interesach, pracować dla celu życia — pieniądza. Wprawdzie są wyjątki — zasmucające rodziny.

Chłopiec przekłada książki nad handel! Kiwają nad nim głowami. *Imbécile* (głupiec). Jakież życie sobie gotuje?

Wiedza wyjątkowo tylko dać może pieniądze i sławę i to w takim razie jedynie, jeśli uczony dojdzie do jakiegoś odkrycia, czy wynalazku, które w praktyce znaleźć mogą zastosowanie. Większość uczonych biedę klepie w kulturalnej Francji — a takiego losu nikt dziecku swemu nie życzy.

Ludzie tutaj są bardzo logiczni: miarą zasługi, miarą szczęścia jest grosz. Kto zatem najwięcej zarabia, ten najwyżej stoi w hierarchji społecznej.

Lepiej stokroć być praktycznym (bogatym) osłem, niż zgłodniałym mędrcem.

Przyznać też trzeba, że odznaczają się pracowitością, energją, godną rzeczywiście naśladowania. Kiedy chodzi o interes — Marsyljanin jest bohaterem. Wszystko zniesie, nawet tak zwane upokorzenie, zrobi wszystko, co ludzkiej mocy zrobić dano.

Miljoner pracuje na równi z młodym, ledwo ze szkoły wyklutym żbikiem handlowym. Dopiero miljarderzy pozwalają sobie na takie zbytki, jak kupowanie obrazów, rzeźb, wspaniale urządzonych willi. Na takich dopiero bogaczach suto zarabiają fabrykanci malowideł.

W ostatnim miesiącu sprzedano, na przykład, takiemu znawcy sztuki nędzną kopję krajobrazu Corot'a jako oryginał, za 40.000 franków.

Robigrosz wyszedł ze swej roli i został za to ukarany przez innego robigrosza.

Tak więc mieszkańcy jednego z największych miast zachodu tem nieustannem uganianiem się za frankiem dziwnie przypominają polską nierogaciznę, która dzień cały ryjem po ziemi szuka pożywienia.

Ta sama logika, która kieruje Marsyljaninem w prowadzeniu interesu, narzuca mu sympatję dla tych mocarstw zagranicznych, na których najwięcej zarobić może.

Pierwsze miejsce zajmuje tu niewątpliwie Rosja. Rzeczpospolita i państwo despotyczne kochają się ogromnie.

I czyż może być inaczej?

Kiedy Rosja potrzebowała pieniędzy, rząd francuski zaciągnął pożyczkę u narodu francuskiego i przesłał Rosji kilka miljardów, pobierając od nich 6%, swoim zaś wierzycielom rząd płaci tylko 3%, ma więc kapitał dobrze umieszczony i musi dbać o interesy Rosji, aby mu owe błogosławione procenty nie przepadły. Przytem fabryki francuskie, założone w Rosji, przynoszą znakomite zyski właścicielom, a więc.... „Boże cara chrani", „Vive la Russie!" — krzyczą starzy i młodzi.

— A gdyby kto ofiarował siedm procent rządowi francuskiemu? — pytam tłustego mydlarza, który już nie jeden miljon zebrał.

— Ach! w razie pewnej gwarancji, naturalnie puścilibyśmy Rosję. Nasz interes przedewszystkiem. Niestety! niema takiego kraju siedmioprocentowego.

— A czy wie pani, ileby nam przyniósł ten nadliczbowy procent? — pyta i oblicza z radośnie błyszczącemi oczami.

To zaś, co mówi Marsylja, mówi cała przemysłowa i kupiecka ciżba francuska, cała francuska burżuazja, morzem krwi z rąk możnowładztwa wyzwolona. Na rządowych gmachach błyszczy dotąd złotem wypisane hasło: *Liberté, Egalité, Fraternité* (Wolność, Równość, Braterstwo), ale cóż tych prawnuków Wielkiej Rewolucji obchodzi Wolność, jeśli nie odnosi się do chwytania franka, gdzie się zdarzy. Równość u nich pieniądzem się mierzy, a Braterstwo jest z tymi, kto najwięcej daje.

Miłość dla Rosji nie wzbudza wszakże w młodzieży francuskiej chętki zaciągania się w szeregi wojsk rosyjskich z powodu obecnej wojny. Zadawalnia się ona wygrażaniem pięścią tym utrapionym Japończykom, którzy ostatecznie mogą wpłynąć na zniżkę rubla, tak silnie podtrzymywanego przez Francję, albo na zniżkę renty francuskiej, częściowo na długu rosyjskim ubezpieczonej.

Zresztą wojna nie przypada do smaku adeptom Merkurego. Armję wszakże mieć trzeba, ale i na to jest sposób. Francja ma kolonje. W Algierze dwa kroć sto tysięcy Arabów we francuskich mundurach w danym razie w bój pójdzie i to na pierwszy ogień — a biją się, jak lwy, wołają z radością handlarze. Dopiero gdyby ich zabrakło, wyruszą czystej krwi Francuzi.

A Madagaskar? Ten także dostarczy wkrótce wielkiej Francji obrońców ojczyzny.

Takie to mądre kupczyki. Taką to oni mają kulturę kieszeniową.

Istotnie, bieżmy po kulturę na zachód, „naśladujmy ją“.

Biedny narodzie polski! Ty w wyobrażeniu wielu jesteś widocznie niemowlęciem, narodem w powijakach, który jeszcze nie mógł dojść do samodzielności i — n a ś l a d o w n i c t w a w pierwszych krokach swoich potrzebujesz.

„O Polsko! Pawiem narodów byłaś i papugą,
A teraz jesteś służebnicą cudzą“...

Więc dalej — naśladuj — upadek innych narodów...

Marsylja, w marcu 1904.

A. Morzkowska.

* * *

Wije się snów mych biały sznur...
Ponad jeziorną srebrną toń
Idź, duszo moja — i łzy roń —
Już idzie wiosna z poza gór...

Wije się snów mych biały sznur...
Wicher smereki dumne miota —
Przędza się rwie, różana, złota...
Już idzie wiosna z poza gór...

Wije się snów mych biały sznur...
Zasnuły niebo szare mgły...
Dusza uśmiecha się przez łzy —
Już idzie wiosna z poza gór...

Wije się snów mych biały sznur...
Zimowe tracę z oczu śniegi —
Znów nienazwane widzę brzegi...
Hej! idzie wiosna z poza gór...

SŁAWA PRUSZYŃSKA.

Zakopane 3/III 1904.

Studja nad budownictwem drewnianem.

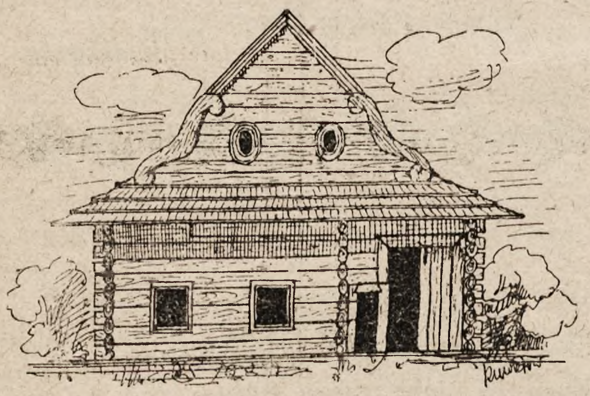
(Dokończenie.)

Dlatego nie można wszystkich motywów zdobniczych, które się u nas w ludowej sztuce ukazują, podciągnąć pod strychulec materjału drzewnego,



Ornamenta na belce z Prus wschodnich.

żyją tam bowiem formy w tkactwie, potem w wypalonej glinie pojęte, obok rzeczy wziętych wprost z kamienia w okresie stylów historycznych i żyją zgodnie obok siebie na chwałę i pożytek rodzimej sztuki.



Chata: Biała (Królestwo Polskie).

Wszystkie te zresztą jeszcze sporne różnice nie umniejszają wielkiej wartości książki p. Puszeta.

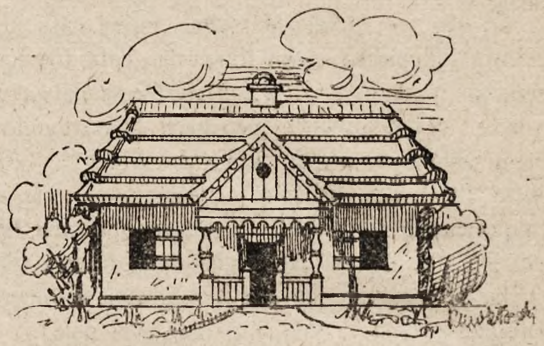
Pamiętać bowiem należy, że cała nauka o chacie, o mieszkaniach i o źródłach twórczości ludowej



Chata z W. Ks. Poznańskiego.

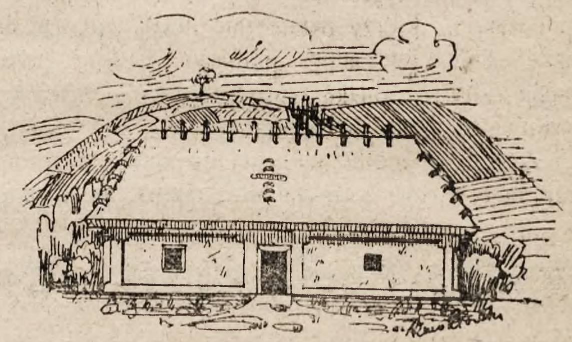
w sztuce znajdują się jeszcze w zawiązkach. Właściwie poza monografjami Matlakowskiego i poza artystycznem zastosowaniem motywów ludowych do sztuki narodowej u Witkiewicza, jedynie zmarły prof. J. Karłowicz usiłował stworzyć początki nauki o „chacie".

Jednocześnie pojawiły się prace tak p. Puszeta jak i podpisanego w wielu rzeczach wzajemnie się



Chata podmiejska z Kulikowa.

dopełniające i obydwaj zapewne czujemy braki tych naszych prac, które uzupełnić może dalsza nieustan-



Chata z Knihinina pod Stanisławowem.

na robota nad badaniem i inwentaryzowaniem jak najszerszem zabytków kultury ludowej.



Pazdury z Krakowskiego, Podhala i Rusi.

Pod tym kątem widzenia witam radośnie wydawnictwo p. Puszeta, żałując jedynie, że z tych

zauważonych i opisanych chat, tak mało widzieliśmy zaklętych w illustracyjną szatę w jego cennej książce.

Lwów, w styczniu 1904.

Kazimierz Mokłowski.

JAN ŚWIERK. 12)

SALON MÓD.

KARTKI Z DZIENNIKA SEMINARZYSTKI.

(Ciąg dalszy.)

Co to było z przeprowadzeniem się!

Jak długo te wszystkie mebelki, graty, śmiecia stały nieporuszone w pomieszkaniu, nie wydawało się to wszystko tem, czem jest w istocie.

Ale, gdy przyszli expresi i poczęli rwać, szarpać, wynosić wszystko, aby jak najprędzej pozbyć się roboty, dopieroż pokazało się, co właściwie posiada dom, który przenosi za sobą wspaniały, ogromny szyld „Salon mód“!

Szafy popleśniałe prawie poprzyrastały pajęczynami do ścian. Za łóżkami na ścianach zostały roje pluskw, od sofek i kanapek rogi odpadają, rupieci rozmaitych całe stosy. Tu pudełka papierowe pozaszywane, tam rozsypana balijka od prania, tu koszyk bez dna, garnki bez uszów, kufry bez nakrywek.

Toż chyba nigdy nie robi się w mieście porządków domowych, nie omiata kurzów, nie otrzepuje mebli... nie wyrzuca rzeczy niepotrzebnych, które nie dadzą się już użyć, a przez to, iż leżą po kątach, tworzą tylko nieład i wstrętne niechlujstwo...

Expresi, wynosząc te graty, śmieli się, widziałam to dobrze, a Adaś skorzystał z okazji i rozpoczął zawzięte polowanie na rozlazłe dookoła karakony, szwaby i pluskwy...

Wujcia nie było zupełnie. Ani się nie potroszczył o to, kto pomoże w przeprowadzaniu.

Ciocia też umęczyła się tak, iż dostała kaszlu nerwowego, jakby astmy, aż bałam się, aby nie dostała wybuchu krwi.

Przed kamienicą garstka ciekawych, przypatrując się wynoszonym rzeczom, dowcipne uwagi rzucała.

Wreszcie zdjęto szyld, ułożono na wierzchu i — wóz potoczono.

Szłam za tym wozem, jak za jakim smutkiem.

Gdyby mię kto był spytał, o czem myślę, nie byłabym może umiała odpowiedzieć... ale coś mię gniotło, coś męczyło, coś parło goryczą i smutkiem niemiłym.

Ile razy ujrzę w mieście ludzi wprzęgniętych do przewożenia ciężarów, doznaję nader przykrego zdziwienia, iż jeszcze podobne barbarzyństwa znajdują się w świecie.

Na wsi przecież nikt już człowieka nie zaprzęga w miejsce konia. Zapewne, dużo ludzi spełnia pracę ręczną, długotrwałą i powolną, którąby mógł koń zrobić rychło, jak n. p. kopanie ziemi rydlem, młócenie zboża cepami itp., ale praca ta zawsze jest pracą ludzi. Lecz gdy po mieście ciągną ludzie wozy z meblami, wózki z pakami, to budzi się mimowoli pytanie: — czemu nie użyto do tego koni?...

Tak też pytałam się, idąc za wozem z meblami naszego mieszkania, do którego zaprzęgło się dwoje ludzi. Szare, grube, brudne, wereciane pasy pozakładali sobie przez ramiona i piersi, pochylili się w pół prawie, czoła im nabiegły sinemi żyłami, policzki nabrzmiały umęczeniem.

Biedni robotnicy!

Jak się znów ta biedna ciocia namęczyła, zanim sobie wszystko w nowem mieszkaniu ustawiła! Ile mogłam, pomagałam, ale już rychło ustałam. Gdzież wujcio?

Wszakże on gospodarz domu, wszakże chociaż tyle powinien pomódz, aby powbijać gwoździe na obrazy i firanki, poprzysuwać szafy ciężkie, zwierciadła powieszać.

Przyszedł w południe na obiad. Przechadzał się w czapce na głowie po pokoikach i tylko wyśmiewał wszystko. To za wysoko, to za nisko, tamta szafa źle ustawiona. Zjadł i zaraz wyszedł.

Ciocia mi szepnęła po chwili:

— Zdaje się, że będzie mieć jakąś robotę na miesiąc.

Dałby Bóg! bo już zdaje mi się, ciocia swą własną pracą nie zdoła uratować się od nędzy.

Przybijałam obrazy „w salonie mód“, duże dwa obrazy nad kanapką i stałam na stole, z podniesionemi rękoma, gdy wszedł Stach.

Zawstydziłam się bardzo, bo do pomagania cioci w ustawianiu wszystkich rzeczy zdjęłam moją jedyną sukienkę, a ubrana byłam w starą, zupełnie

na mnie krótką i ciasną, w którą się już tylko rano do czesania ubieram.

Zawołałam więc zaraz:

— Niech pan Stanisław idzie, my pracujemy i nie można przeszkadzać.

— Chcę pomódz, wiem, iż roboty wiele, więc uwolniłem się od popołudniowej pracy.

— To proszę iść do pracowni, tam łóżka trzeba ustawiać.

— Niech kuzynka zejdzie ze stołu, ja obrazy zawieszę.

Skoczyłam rychło i wybiegłam do pracowni. Za chwilę Stach już jest tam.

— Niech mu ciocia każe iść, nie będę mogła nic robić przy nim.

— Cóż znowu! Owszem, poczciwina chce nam pomagać, a ty odpędzasz, niewiedzieć dlaczego.

— Kiedy jestem tak nieubrana, niechże ciocia patrzy.

— A! widzisz, panno! Rezonowałaś kiedyś tu wiele o tem, iż mody i strojów nie potrzeba, a jak mężczyznę widzisz, to się wstydzisz ciasnej i krótkiej sukienki. Widzisz — jest to wrodzone w kobiecie, iż pragnie wyglądać pięknie, strój ogromnie wiele do tego się przyczynia, dlatego też moda lubianą jest i będzie zawsze, bo przynosi odmianę, nie zaprowadza nudnej monotonności...

— Co innego strojenie się wedle mody, a co innego porządek i estetyka, mogłabym mieć starą i niemodną sukienkę, a nie wstydziłabym się w niej komu pokazać, bo sukienka ta mogłaby być piękną i porządną, ale ta moja jest podarta, krótka...

— Nie rób sobie nic z tego, odzywa się nagle Stach, który podsłuchał przypadkowo rozmowę. Pracuj swobodnie, nie zważam na to, jak kto odziany.

Bardzo długo w nocy jeszcze on i ciocia razem ze mną ustawiali w nowem mieszkaniu rzeczy.

Ustawiono też tak, iż mam w „salonie mód“ stolik do nauki.

Kapelusz jest bez piór, żakiet wybrałam najtańszy, za 8 zł., trzewiki za 4 zł., za naukę w seminarjum już jestem tylko winna 2 zł., ale, o dziwo, mam kupioną materję na sukienkę nową.

Otóż i natura kobieca! Cieszę się sukienką,.. Oglądam żurnale, wybieram fason i myślę już naprzód, jak ja będę wyglądała w nowej, modnej sukience...

Może przed trzema — dwoma tygodniami nie byłoby mi na tem wiele zależało, ale teraz cieszy mię to... Materja tania, cała parada kosztuje 4 zł. 20 centów... granatowa ciemna sukienka...

Gdy spojrzę w lustro, zdaje mi się, żem nie taka brzydka jak dawniej! Żakiet leży dobrze, kapelusik czarny z czarną wstążką.

Jak ja się cieszę!

Bezduszna!

Jak mogłam pisać podobne myśli! Kilka łokci materji i to może tyle czasu zająć i tyle uczuć zniewolić!

Dziś właśnie czytałam w jednem dziele, iż „stroje od tak dawna przyznane są za namiętność kobiet, że w XIV. wieku jeden profesor florencki, widząc, iż młodzi jego uczniowie przyszli wystrojeni rzekł: — „pewnie mężów chcecie“!

A zatem strój — moda — pragnienie estetyki, to wszystko łapka na mężczyzn.

Biedni mężczyźni! Ich się najpierw wabi piórkami, aksamitem, formą, a potem albo im się da duszę ustrojoną pięknie, albo da pustkę bezdenną... to mniejsza.

Emcia chora. Mieszkanie wilgotne, zimne, nie jadała po tygodniu mięsa, wycieńczyła siły...

Płakałyśmy dziś obie z Kazią przy jej nędznem łóżeczku... Gorączkę ma silną, rzuca się, ani nawet chwilami nie poznaje nikogo.

Trzeba lekarza, leków, dozoru... kto się tem zajmie?...

Jakże to sieroco, pusto biednym dziewczętom w mieście dużem!

Opowiadała mi Kasia, iż w oficynach tu mieszka panna od białego szycia, która właśnie haftuje wyprawę dla jednej z tych, co z nami zdawała egzamin i została przyjętą do seminarjum, w styczniu już będzie ślub. Wyprawa bogata, a ona, rozbawiona, opowiada pannie od białego szycia, jak w seminarjum wesoło czas mija...

Emcia ma tyfus głodowy, orzekł lekarz. Wzięli ją do szpitala. Teraz więc biedna Kazia została sama i jest zrozpaczona. Sama nie opłaci mieszkania, sama nie ogrzeje przez zimę tej izdebki. Musi sobie szukać kogoś do mieszkania. Jakże to nieprzyjemnie! Już napisała kartkę do wywieszenia, iż wspólne mieszkanie do wynajęcia, ale nie ma odwagi jej wynieść z domu.

Przyszło mi na myśl, jakby było, gdybym ja się do niej sprowadziła... Płacę cioci 10 zł. za wikt i mieszkanie, to tanio, ale...

Ot i zbliżyły się Święta... Na tydzień naukę przerwano. Dużo koleżanek wyjechało i Kazia także.

Ja — nie mogę jechać. Za daleka droga, podróż tam i napowrót końmi, które muszą przywieźć i odwieźć, wyniosłaby więcej niż 10 zł... To nie dla mnie wydatek.

Pożegnałam Kazię czule, odwiedziłam Emcię, ale nie puszczono do niej, stan groźny i niebezpieczny...

Ciocia ma ogromnie dużo roboty. Zimowe kostjumy, bluzki jasne do teatru, a nawet już i wieczorkowe tualety pozamawiane.

C. d. n.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI.

Z DZIEJÓW KULTURY.

Ciszewski Stanisław. Ognisko, studjum etnologiczne. Kraków, 1903. Nakładem Akademji Umiejętności. 8-ka, str. VII i 238.

Śmiało rzec można, że oprócz ś. p. dra Jana Karłowicza nie mieliśmy dotąd nikogo, ktoby był tak doskonale przygotowany do podjęcia badań samoistnych z zakresu etnologji porównawczej, jak właśnie dr. Ciszewski. Oprócz bowiem dokładnej znajomości języków, koniecznej do prowadzenia tego rodzaju studjów, oprócz dalej ścisłej metody krytycznej, odznacza się on doskonałem obznajomieniem z światową literaturą etnograficzną. Że ś. p. Karłowicz pomimo, iż miał wszelkie warunki do pozostawienia po sobie obszernych i wybitnych dzieł z dziedziny etnologji porównawczej, nie zostawił takich, temu winien nad wyraz obszerny zakres studjów: językowych, filozoficznych i t. d. skutkiem czego siły rozpraszały się w rozmaitych innych kierunkach. Dr. Ciszewski przeciwnie postąpił, bo w dotychczasowych swoich pracach nie wykroczył poza raz obrany przedmiot. Stąd też obdarzyć mógł tak ubogą naszą literaturę naukową etnologiczną szeregiem bardzo ważnych rozpraw, czy to o „Wróździe i pojednaniu“, czy „O atałykacie“, nie licząc już prac, wydanych w językach obcych. Obecnie dorzucił do nich nowe dzieło, poruszające zagadnienia bardzo ważne z pierwotnej kultury ludzkości.

Zarówno starożytne świadectwa historyczne, jak nie mniej też współczesny folklor ludów dzikich, wykazują najdowodniej, że cześć dla ogniska domowego była powszechna u narodów pierwotnych. Nie wolno jest ani stać ani siedzieć tyłem do ogniska, nie wolno go deptać i znieważać obelżywemi słowy, nie wolno bawić się swawolnie z ogniem. Wzbronione jest zbliżanie się do kotła bez pokłonu, deptanie po piecu i t. p. Okazuje się zatem, że zupełnie taką samą czcią, jak ognisko domowe w ścisłem znaczeniu tego wyrazu, otacza człowiek wszystko, co pozostaje z niem w styczności. Wiele ludów zalicza do czynów karygodnych wtykanie w ognisko wszelkiego rodzaju narzędzi spiczastych, bo przypisując ognisku właściwości istoty żyjącej, a zatem możność odczuwania głodu, pragnienia i mówienia, uważało, że takim czynem możnaby zaszkodzić ognisku. Do przekonania, że ognisko jest istotą żyjącą, doszedł człowiek pierwotny drogą wnioskowania przez analogję, jaka zachodziła pomiędzy płonącem ogniskiem a istotami żyjącemi. Siła trawiąca ognia nasuwała myśl o żarłoczności, trzask płonących drew, sypanie się iskier z ogniska, wszystko to uchodziło za objawy życia, poczas gdy wygasanie ognia wydawało się śmiercią ogniska. Ożywione przez człowieka ognisko nie posiada czasami określonych kształtów plastycznych. Częściej wszakże personifikuje człowiek ognisko w postaciach, zbliżonych do ludzkich, lub nawet umieszcza w niem duchy domowe. Dla czego oddawano powszechną cześć ognisku — nie trudno się domyśleć, oto dla tego, że imponowała człowiekowi pierwotnemu siła ognia.

Drugą, nie mniej ważną ideę tego kultu stanowi wiara w przyrodzoną, idealną czystość żywiołu ognia, jaka rozpowszechniona jest po całej ziemi. O jej istnieniu świadczy zapobiegliwość, jaką okazuje człowiek, aby nie dopuścić do skalania ogniska. Ponieważ zaś przedmioty, pozostające w bezpośredniej styczności z ogniskiem, uważane są za godne szacunku na równi z samemże ogniskiem, to też te same przepisy, które mają na celu zapobiedz skalaniu ogniska, stosują się również do nich. Wiara w przyrodzoną czystość ogniska i ognia, oraz przekonanie o możności ich skalania, dały początek specjalnym obrzędom oczyszczania skalanych ognisk i ogni. Wobec tej wreszcie wiary bardzo wiele ludów doszło do przekonania, że wobec możności skalania rzeczy i istot czystych przez istoty nieczyste, żywioł ognia jest najlepszym środkiem do ścierania zmaz. Używano go więc do ochrony przed chorobami, oraz przed duchami szkodliwymi, przeciwko działaniu czarów i uroków. Ba, nawet węglom i popiołowi przypisywano moc obronczą. Stąd poszły ogniowe sądy boże, mające wykazać winę lub niewinność podejrzywanego o zbrodnię, a więc *eo ipso* nieczystego. Stąd największą przysięgą było zaklęcie się na ognisko.

Potrzeba nieustannego pielęgnowania ogniska jest powszechnie uznawana i ma ona na celu uchronienie ognia od wygaśnięcia, a potem także nakarmienie go świeżem paliwem, skoro ognisko uważano za istotę żyjącą. Dalszem rozwinięciem tego pojęcia było karmienie ogniska kęsami pokarmów, jakie spożywał człowiek, a także wylewaniem napojów na spalenie. Taki mniej więcej jest w ogólnych zarysach żywiołowy kult ogniska.

Poza nim był jeszcze kult społeczny, o którym mówi dr. Ciszewski w drugiej części swojej pracy.

Społeczny kult ogniska wypłynął z kilku niezmiernie ważnych społecznych funkcji ogniska. Pierwsza z nich polegała na tem, że ognisko, przyjmując na się rolę środowiska społecznego, ogniskuje otaczające je jednostki w zwartą gromadę współogniskowców, czyli grupę osób, poczuwających się do solidarności w imię współposiadania jednego ogniska — środowiska. Funkcje tego rodzaju pełni ognisko nie tylko w ro-

dzinie i w rodzie, lecz również i w plemieniu. Stąd łatwy do wyprowadzenia wniosek, iż skład wspólnot ogniskowych nie może być zawsze jednakowy. Jedne z nich muszą się składać w zasadzie z współwłaścicieli jednego ogniska rodzinnego, czyli członków jednej rodziny. Drugie — ze współposiadaczy jednego ogniska rodowego. Trzecie — ze współdziedziców jednego ogniska plemiennego. Nie można być współogniskowcem z urodzenia. Prawo współogniskowca można tylko nabyć albo na mocy legitymacji na współogniskowca, albo na mocy adoptacji. Legitymacja zapewnia prawa współogniskowca dzieciom, zrodzonym w łonie wspólnot-ogniskowych. Na mocy adoptacji wchodzą do wspólnot ogniskowych osoby obce, przybywające z zewnątrz a mianowicie: nowozaślubione żony, niewolnicy, słudzy i uczniowie. Istnieją nawet obrzędy zespalania w sposób symboliczny z ogniskiem gospodarza nowonabytych zwierząt i ptactwa domowego, a rozpowszechnione jest też narzucanie się na współogniskowca obcej wspólnocie ogniskowej przez ludzi ściganych celem pozyskania tą drogą w łonie jej prawa azylu. A że w oczach człowieka pierwotnego życie zagrobowe jest wierną kopją ziemskiego, nic więc dziwnego, że niektóre ludy wyobrażają sobie, iż tak samo, jak ogniska ziemskie ogniskują ludzi żywych, tak samo znowu ogniska niebieskie ogniskują dusze zmarłych. Wymarli członkowie wspólnot ogniskowych ziemskich, tworzą podobne wspólnoty na tamtym świecie. Z tych to współogniskowców duchów, pochodzą opiekunowie współogniskowców, pozostających przy życiu. Stąd przeszedł kult ofiar, składanych duchom przodków na domowem ognisku.

A kiedy rody zaczęły się dzielić na drobniejsze, wówczas wydawano im część ognia z domowego ogniska. Oznaczało to przeszczepienie w sposób symboliczny społecznego kultu ogniska, kwitnącego w pewnej macierzystej grupie społecznej, do nowopowstającego jej odgałęzienia. Ponieważ jednak z racji funkcji ogniska, jako ołtarza pośrednika, kult społeczny ogniska wiąże się z kultem przodków, obrzęd przeto działkowania ognisk rodowych, rodzinnych i plemiennych należy pojmować jako ceremonję, wyrażającą także poniekąd ideę przeszczepiania kultu przodków. A że istnieje wierzenie, że wraz z wydaniem części ogniska wydaje się część szczęścia z domu, stąd też nie wydaje się nigdy ognia obcym, które to wierzenie jest bardzo rozpowszechnione.

Trzecim typem kultu społecznego ogniska jest — kult ogniska plemienno-państwowego, istniejący powszechnie w starożytności, o czem nam wiadomo z świadectw historycznych, który wypłynął z dwu poprzednich kultów.

Oto rezultaty, do jakich doszedł dr. Ciszewski na mocy obfitego materjału etnologicznego, który szeroko został uwzględniony w samem dziele. Nie przytaczaliśmy tutaj szczegółowych przykładów, bo po pierwsze jest ich za wiele, a powtóre są one tylko podstawą, na jakiej opierają się ostateczne wyniki, które tu po krótce staraliśmy się streścić.

Dr. St. Zdziarski.

SZTUKA. *Kaplica król. Zofji na Wawelu.* Rozpoczęta przed trzema laty restauracja kaplicy królowej Zofji, matki Jagiellonów, na Wawelu, w czasie której odkryto też, jak wiadomo i grobowiec tejże królowej, zakończyła się niedawno okryciem jej ścian malowidłami pędzla p. Włodzimierza Tetmajera. Treść tych malowideł jest następująca: Na dwu przeciwległych dłuższych ścianach kaplicy przedstawiona jest Matka Boska w czterech najbardziej u nas znanych postaciach, Częstochowska na tle dębu, Ostrobramska, ocieniona gałęziami płaczącej brzozy, Kalwaryjska z górskim jaworem i Berdyczowska, nakryta konarami lipy. Dołem pod dwoma pierwszymi obrazami odtworzone są dwie sceny z życia królowej Sonki, — zaślubiny jej z Władysławem Jagiełłą i jej stan wdowi, gdy siedzi w otoczeniu dwu swoich synów Władysława Warneńczyka i Kazimierza. Pod dwoma dalszymi obrazami znajduje się nagrobek i Thorwaldsenowska rzeźba, przedstawiająca Włodzimierza Potockiego.

Na jednej ze ścian krótszych równoległoboku przedstawiona jest Trójca święta w otoczeniu aniołów i skrzydlatych duchów, poniżej zaś obraz św. Zofji. Na przeciwległej ścianie „Królowa Korony Polskiej“, przed którą przynoszą mary z Polską w koronie i szczerbcem u boku. Z ust Boga-rodzicy unoszą się biblijne słowa „Nie umarła ona, ale spi“, a od mar zrywa się serafin z pobudką zmartwychwstania i słowami: „Powstań!“

Na suficie, na samym środku widnieje potężne oblicze Boże, a po obu stronach dwaj aniołowie: Korony i Litwy. Niżej we wnękach, pomieszczone są grupy królów polskich wraz z patronami poszczególnych epok, od św. Wojciecha począwszy, do błog. Jana z Dukli. Są tu więc wyobrażenia Mieczysława i Bolesława Chrobrego z twarzami chłopów polskich, inni wedle historycznych portretów odtworzeni, z elekcyjnych zaś królów tylko Batory i Jan III. zajęli tu miejsca. W drugiej połaci sklepienia znalazły się postacie największych mężów w narodzie, jak Długosza, Mikołaja Kopernika, jenerała Dąbrowskiego, Kościuszki, Mickiewicza i w. i.

Wśród poszczególnych grup w charakterze dekoracji widnieją aniołkowie z twarzami polskich, wiejskich dzieweczek, ze skrzydłami naszego leśnego i polnego ptactwa i ornamentyka z motywów ludowych i z litych pasów szlacheckich zaczerpnięta.

NOTATKI. Nakładem firmy H. Altenberga we Lwowie wyszedł zbiór tablic p. t. „Styl zakopiański z tekstem Stanisława Witkiewicza.“ Mieszczą się w tem nowem, a bardzo pożytecznem dziele projekty mebli do „jadalni“ tak p. Witkiewicza, jakoteż Wojciecha Brzegi, p. Barabasza profesora szkoły przemysłowej w Zakopanem i Wiktora Gosienieckiego, młodego i zdolnego artysty z Gniezna.

Do szczegółowego omówienia tej książki powrócimy w przyszłym numerze „Tygodnia“. *K. M.*

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

— Bilse, porucznik. Tajemnice małego garnizonu. Obrazek na tle militaryzmu pruskiego. W tłómaczeniu i z przedmową Włodzimierza Trąmpczyńskiego. Warszawa 1904.

— Jarosław Vrchlicky i inni: Ballady, legendy i t. p. Tłómaczył z czeskiego Konrad Zaleski. Warszawa 1904.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika 5.